

W okowach „białej śmierci“

x

Nazajutrz, po męczącej walce z żywiołem, zauważono w odległości 10 km. na jednej z gór lodowych, tajemniczy, czarny punkcik. Dwie godziny tłukł „Krasin“ krę, nim wreszcie zbliżył się do punktu o tyle, że rozpoznano postać ludzką, wymachującą rozpacziwie, jakimś łachmanem.

Jeszcze chwila walki i nowa sensacja. W pobliżu pierwszego człowieka spryszczono drugiego. Leżał na śniegu. Zauważono, że z trudem podnosi głowę. Na ustach, jego wykwitły uśmiech szczęścia i radości. Był to, jak się później okazało oficer Mariano, pierwszym był — oficer Zapi. Za łoga „Krasina“ szukała trzeciej osoby — Malmagrena.

Gdzie jest Malmagren? — pytano się nawzajem.

Gdy „Krasin“ dostatecznie zbliżył się do góry lodowej, zarzucono drewniany mostek. Pierwszy wbiegł na mostek Zapi z taką szybkością, że wywołało to ogólne zdziwienie.

Skąd Zapi ma tyle sił, by po 6-tygodniowych męczarniach — biec? Zapi był poza tym bardzo dobrze ubrany. Nosił na sobie własne ubranie oraz futra... Malmagrena i... Mariano. Ich ciepłe ponczochy znajdowały się również na nogach Zapi.

W momencie, gdy Zapi biegił ochoczo przez mostek, Mariano leżał w dalszym ciągu widocznie nie mogąc powstać o własnych siłach.

Z pomocą pośpieszyli marynarze. Gdy zbliżyli się do Mariano i ust ich wydarł się okrzyk przerażenia: na ziemi leżał wyczerpany do ostatnich granic, pół przymoty człowiek! Mariano nie miał na sobie ani jednej sztuki ubrania!

Nosił porwany łachman i poszarpane skarpetki. Resztki ciepłota z organizmu tego pół trupa spowodowały, że śnieg wokół jego osoby stopniał i Mariano leżał w... kałużach! Jedną nogę Mariano była zupełnie zeszywniała. Jak się okazało była ona na całej długości odmrożona. Nieszczęśliwego zaniesiono na okręt i pieczołowicie ułożono na łóżku. Mariano od czasu do czasu jęczał. Mówić nie mógł.

Gdy oficerowie znaleźli się na „Krasinie“ zaczęto natrętnie dopytywać oficera Zapi o Szweda Malmagrena. Przeciwnie Czuchowski meldował, że zauważył 3 osoby. Zapi odparł na to, iż trzecią osobą były... spodnie rozłożone na śniegu!

A dlaczego Mariano jest tak wyczerpany w przeciwieństwie do niego? Na to pytanie nie było odpowiedź. Zarówno jak i na pytanie dlaczego Mariano został pozabawiony ciepłego ubrania.

Zdaniem lekarza, który zbadał Mariano, wynikało, że nieszczęśliwy zdołałby przeżyć najwyżej 24 godziny. Zapi starał się mówić jak najmniej, unikał ludzi i krył się po kątach. Trudno jednak było przejść nad tą tajemniczą sprawą do porządku.

Rozprawiano na ten temat stało i wreszcie wszyscy doszli do następującego przekonania:

„Zapi oczekiwał niecierpliwie na śmierć Mariano, by mieć z niego tę korzyść, jaką obydwoj mieli przedtem ze... zwłok Malmagrena!“

Chciał go — zjeść. Było to nie trudne do wywnioskowania, gdyż Mariano, odzyskawszy przytomność, oświadczył:

„Gdy czulem, że nic mnie nie uratuje, odezwałem się do Zapi: „Zjesz mnie, gdy umrę, ale nie przedtem. Błagam cię.“

Oczywiście, że słowa te warty wstrząsające wrażenie. Nikt nie chciał wierzyć, by mogli zapaść podobnie wypadki!

A jednak? Nie można było pominąć faktu, że po 13 dniach godowania Zapi był zdrow, rzeźki, gdy tymczasem Mariano umierał z wyczerpania.

Czem żywił się Zapi, gdy zabrakło konserw? Czy możliwym jest, że Mariano i Zapi, umierając z głodu, rzucili się w końcu na zwłoki Malmagrena i pożarli je? A gdy i tego „mięsa“ zabrakło, Zapi siłą rozebrał Mariano i ockiwiał na jego śmierć, by „jakoś“ przetrzymać? Czy może to być prawdą?

Opisana przez nas ponura tragedia do chwili obecnej nie została całkowicie wyjaśniona. Oficer Mariano, który mógł wyjaśnić

wiele szczegółów, zmarł w dwa dni później, po amputacji nogi. Zapi nie dawał odpowiedzi, a wkrótce potem rządy włoski wysłał go do Japonii. Jedynymi świadkami pozostały niebosiężne góry lodowe, ale one niestety mówić nie umiały.

Jedno było pewne: Malmagren zginął, a Zapi żył. To wszystko co Zapi opowiadał do chwili śmierci Malmagrena odpowiadało prawdzie. Od chwili jednak śmierci Szweda, wyjaśnienia Zapi brzmią nieprawdopodobnie...

Nie ulegało jednak wątpliwości: Zapi pozostawał pod strasznydm podejrzaniem... zjedzenia własnego towarzysza!...

(M. G.)
(Dalszy ciąg nastąpi)

Pod sąd oplnł rodziny Czytelniczej Naszego Pisma Precz z podłymi kolegami!

Szeregim doświadczeń życiowych uzasadnia swe wywody nasza Czytelnicza, tem się różniąc od Marleny Dietrich, że jest nie „X 27“, lecz „W 29“. Nie jest przychylnie usposobiona dla „Strapionego“ i gromi jego obrończyźnie — „177“ — w sposób następujący.

„Pani „177“ każe „Strapionemu“ słuchać kolegów i bardzo źle czyni, bo kto wie, czy właśnie koledy nie stali się przyczyną nieszczęścia p. Natalji, którą pragnę energicznie wziąć w obronę. Proszę nie myśleć, że jestem za tem, aby mężatki były powolne innym mężczyznom, ale gdy kobieta jest nieszczęśliwa, to wszystko się wali na nią.

Niech p. „177“ nie cieszy się swoim szczęściem, bo niewiadamo, jak długo ono jeszcze po-

trwa. Ja również się cieszyłam przez 13 lat, a w 14-tym roku rozpaczam, bo już od kilku miesięcy mąż mój wdał się z kolegami, zwłaszcza zaś z jednym gagatkiem. Mąż mój był bardzo dobry, nigdy nie przychodził pijany ani z brzydkiemi wyrazami. Przez wiele lat mogliśmy być wzorem szczęśliwego małżeństwa. Dwoje naszych dzieci, z których jeden już kończy szkołę, a drugi jest w trzeciej klasie, miały dotychczas dobry przykład, a teraz widzą, że z ojca — to potwór w ludzkim cieles.

Kolega mówi mi: „Co będziesz baby słuchała, Ty pracujesz, to możesz się bawić, a żona z dziećmi niech siedzi w domu. Daj jej, ile ci się podoba, wydziel każdy grosz, niech sobie radzi, abyś ty tylko miał za co się bawić, a ty, żono, konaj z głodu i niedostatku wraz z dziećmi.“

To są skutki, gdy się słucha kolegów, jak radzi p. „177“, którą jeszcze syją się hojdy ze strony „Weterana“ z sali Nr. 3“.

Z tego „Weterana“, to też do bry numer! Potępia wszystkie mężatki, a ja widzę podług siebie, jak niesuszenie. Coprawda, nie tracę nadziei, że mój mąż wreszcie uprzytomni sobie, co robi i wróci do dawnego trybu życia, ale gdyby nie wyzwolił się z pod wpływu kolegów, odejdę od niego, żądając jednakże, aby leżał na dzieci. Otóż gdybym tak uczyniła, nie mam teraz pewności, czy jakiś jego kolega nie cisnąłby na mnie obelgi, że mam kochankę, bo inaczej nie rzuciłabym męża.

Jestem przekonana, że p. Natalja ma życie zmarnowane przez kolegów, judających między małżeństwami, w rodzaju p. J. R., który oczernił p. Natalję i zelżył nazywając ładacznica. Kto wie, czy to nie on właśnie przyłożył rękę do jej nieszczęścia? Precz z takimi kolegami! Niech żyją do brzy koledy, a nie pijusy i lajdusy, którzy prowadzą naszych mężów na złą drogę! Niech nasi mężowie nie słuchają podłych ludzi, to i my, będziemy dla nich dobrimi żonami i matkami dla ich dzieci!“

Czytanie

„Wesołe Wiadomości“

Cena 10 groszy.

Ekspert — podpalaczem

(m.) Ledwie rozpoczął się Nowy Rok, rok 1934, a oto w dwóch głównych centrach europejskich: w Paryżu i Londynie, zanotowano dwie afery, które, ze względu na swój charakter, stanowią największą sensację ostatnich lat. W Paryżu jak wiadomo, ujawniono aferę, której bohaterem jest Sasza Stawiski, a w Londynie na pierwszy plan wysuwa się niejaki Leopold Harris.

Historja ta ma następujące tło: Leopold Harris, szanowany i zamożny obywatel londyński, piastował urząd eksperta jednego z towarzystw ubezpieczeniowych. Towarzystwo miało do Harris'a nieograniczone zaufanie.

Dość należy, że Harris w pierwszym rzędzie był specjalistą od podpaleni. Gdy tylko zjawiał się na miejscu podpalenia, jednym rzutem oka oceniał, czy podpalenie było umyślne, względnie,

czy działała tu tajemnicza dłoń.

Oczywiście, że T-wo zawsze akceptowało każdą ekspertyzę Harris'a, wiedząc, że nie może być mowy o omyłce. Obdarzony tak nieograniczone zaufaniem Harris, jak każdy śmiertelnik, nie zapomniał o zapełnieniu swej prywatnej kasy.

I w przeciągu krótkiego czasu zamienił się z eksperta w... podpalacza! Jest to co najmniej dziwne. Jednakże fakty są przerażające.

Zorganizował on na terenie Londynu bandę, której jedynym zadaniem było podpalanie magazynów, składów, sklepów — ubezpieczonych we wspomnianem Towarzystwie. Harris, przez swych kompanów wchodził w kontakt z zainteresowanymi, poczem rozpoczynała się właściwa, kryminalna robota.

Rzeczywistość zaćmiewa fantazję

Cały Londyn wzbudzony jest z powodu niezwykle tragicznego wypadku, górującego nad fantazją literatów i autorów romanów kryminalnych.

Na inkasenta wielkiego browaru londyńskiego, Rouperta Wagnera napadli bandyci i ograbili go, wyrwując mu z pod pachy teczkę, zawierającą 130 funtów szterlingów. Rabusie wskoczyli do swego auta i zbiegli. Wagner chcąc odzyskać zabrane mu pieniądze, zaczął strzelać w stronę odjeżdżających bandytów, lecz strzały nic nie pomogły.

Tego samego dnia, pod dom rodziców Filipa Egera, młodego stewarda okrętowego podjechał samochód i jacyś dwaj mężczyźni wynieśli ciało Egera. Zadźwiagli je na górę, położyli na łóżku i korzystając z nieobecności domowników, ułotnili się, nie pytani przez nikogo o tajemniczy wypadek i ich osoby. Krewni Egera, widząc go leżącego na łóżku, początkowo nie pytali o nic, przypuszczając, że chłopcu zrobiło się niedobrze, bo cierpiał na zapalenie płuc. Wkrótce zauważyli jednak krew na pościeli i po bliźszych oględzinach ustalili, że Eger otrzymał postrzał w brzuch.

Na to nadeszła żona rannego, pracownica fabryki, Sady Morris. Bracia i siostry Egera opowiedzieli jej zmagmatwaną historję, że młodzienc nie musiał sam zranić się wskutek jakiejś nieostrożności na okręcie. Przewieziono go do szpitala. Umarł nie odzyskawszy przytomności, nie bacząc na natych-

miastową pomoc lekarską i transfuzję krwi, do której żona ofiarowała pół litra własnej krwi.

Według pogłoszek i przypuszczeń, oba wypadki — napad na Wagnera i tajemnicze zranienie Egera, mają związek z sobą.

Zmarły był utalentowanym muzykantem. Ojciec jest skrzypkiem a matka tancerką.

Moskwa w latach 1911 — 1933

Rewelacje angielskiego inżyniera

W Londynie wyszła z druku książka, pióra głośnego bohatera rozgłoszonego moskiewskiego procesu, przeciwko wysłannikom firmy „Metropolitain Wickers“. Inżynier angielski Allan Monkhouse, opisał swoje wspomnienia z długoletniego pobytu w Rosji i z procesu kolegów inżynierów. Książka nosi tytuł „Moskwa 1911 — 1933“.

Inż. Monkhouse szczegółowo porusza w swej książce detale procesu, przyczyny śledztwa i wszystkie okoliczności sprawy. Opowiada także o przerażeniu jakie ogarnia każdego człowieka, na samą nazwę GPU i okropnych wersjach, jakie budzi wśród ludności metoda urzędowania tej instytucji.

Kiedy w Leningradzie przebudowywano gmach GPU, po miesiące chodziły potworne słyby, ja-

koby ofiary, trafiające do rąk agentów, są żywcem rąbane na kawałki, a ciała ich wyrzucane jest do Newy. Takie pogłoski o rzeźni i innych męczarniach fizycznych, przechodzących wszystkie okropności inkwizycji hiszpańskiej, uważa Monkhouse za rzecz grubo przesadzone. Natomiast notuje inne zjawisko, że wersje te kolportowane są głównie przez samych agentów czerezy wyczątki, chcących wzbudzić bojaźń u ludności do tego stopnia, iż pierwszy lepszy aresztowany, po dostawieniu do lochów GPU, od razu gotów jest przyznać się do czego mu każą, byle ustrzec się „rzeźni“ i podobnych tortur.

Trwające bez końca przesłuchania, dniami i nocą, o każdej porze, przerażająco jasno oświetlona cela, bezustannie podglądanie „judasz“ w drzwiach, otwierających się co kwadrans, wyczerpanie ner-

wowe i niezdrowa wyobraźnia, wywołana pogłoskami o tajemniczych rozstrzelaniach, — wszystko to zdaniem autora książki o GPU, działa stokroć silniej, niż faktyczne tortury. Podczas pobytu inż. Monkhouse w areszcie nie było go wprawdzie, ale zato często grożono mu rozstrzelaniem.

— Choć sam osobiście nie byłem poddawany torturom, narozkozie i hipnozie, to jednak zrozumiatem, po wielu godzinach przesłuchania w kolegium śledczym, że GPU potrafi zmusić czło-wieka samemu tylko graniem na nerwach, bez dotknięcia nawet palcem aresztanta, że ten podpisze, najbardziej go obciążające zeznania. Książka wywołała wielkie poruszenie w Anglii, gdzie przymus stosowany względem więźniów, należy do dawno zapomnianych środków „śledztwa“.

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ

SPOWIEDŹ PIĘKNEJ DZIEWCZYNY RZUCONEJ POMIĘDZY BESTIE LUDZKIE

19 grudnia.

Obydwa hrabiowie nie dają mi spokoju. Już mi to wszystko obrzydło z kretesem! Widocznie wszyscy mężczyźni są jednakowi. Jeden wydawał mi się aniołem opiekuńczym, a przekonałam się, że jest starym rozpustnikiem, bo wcale nie wierzę w to, co mi naopowiadał. Drugi hrabia zachowuje się coraz gorzej. Przejsię już nie mogę spokojnie, jeśli choć na chwilę jesteśmy sami. Wprost boję się wychodzić ze swego pokoju, żeby nie natknąć się gdzie na hrabiego Klemensa. Dziś ledwie się powstrzymałam, żeby mu nie dać w papę, świętuch taki!

Czasem to już nawet nie wiem, czy taki hrabia nie jest gorszy choćby od Józia. O tym przynajmniej wiem, że jest łobuz i czego mogę się po nim spodziewać, a ten... Lepiej nie mówić!

Jutro z samego rana pójść sobie, gdzie mnie nogi poniosą.

Nad Wisłę?

Byłoby chyba najlepiej, żeby raz skończyć ze swoim podłym życiem. A jednak... wstrząsam się, kiedy sobie przypominę tamten wieczór, kiedy całym ciałem wisiłam już nad wodą. Boję się śmierci?... Nie, to nie jest strach. Nic nie miałam z życia dobrego, wszystko na ziele mi wyszło, może więc dlatego nie chce mi się umierać, bo kołaczę we mnie nadzieja, że może jednak życie uśmiechnie się do mnie...

Tak, uśmiechnie się! Mogę się spodziewać! Wystarczy tylko wyciągnąć rękę, żeby dostać dużo pieniędzy od starego hrabiego i zostać jego kochanką! Aż się coś we mnie wstrząsnęło. Pieniądze nie dają szczęścia, o nie! Przekonałam się o tem. Wolabym nędzę z Jerzym niż bogactwa hrabiego.

Jerzy mnie nie chce. Wygnał mnie jak psa z pod drzwi!...

Nie wiem, skąd hrabia Ksawery się domyślił, że byłam u —Jerzego. Powiedział wczoraj wieczorem do mnie:

— Mówiłam pani, że nie trzeba chodzić samej! Nie słuchala pani. Ale to może i lepiej się stało, bo sama się pani przekonała, że niema co myśleć o powrocie do męża. Ma pani teraz ręce rozwiązane. Skarbie mój, czekam na twoje decydujące słowo! Czekam z niecierpliwością!

Spostrzegł, że drzę, jak w febrze, więc przedko dodał:

— Niech się pani najpierw uspokoi, onanie, przeboleje...

Pewnie, że jednak jest w nim coś dobrego, nie sama chęć rozpusty, jak o nim mówi syn.

Wszystko mi zresztą jedno. Mam tego domu dostać, jutro mnie już tu nie będzie.

Żeby mogła gdzie jaką pracę znaleźć i mieć ze sobą swego Lusinka! O, jużbym niczego nie chciała więcej od życia, niczego! Trochę chyba spokoju!

21 grudnia.

Wstałam wczoraj rano. Było jeszcze zupełnie ciemno. Ubrałam się i miałam zamiar wyjść cichaczem, jak postanowiłam.

Byłam już gotowa do wyjścia, ale wtedy przyszło mi do głowy:

— Dlaczego to mam się wykradać z domu, jak złodziej? Przecież nic nie ukradam! Powinnam nawet podziękować za to, że mnie tyle czasu trzymali, ubrali, karmili, choć nie próżnowałam i starałam się pracować jak umiałam.

Zdaje się, że pani hrabina nie była zbyt zadowolona ze mnie, a zresztą prawie jej nie widywałam. Najbardziej dla mnie były hrabianki, ale już dawno wyjechały do Nicei.

Pani hrabina, jak hrabina. Jej co innego w głowie niż moja osoba. O czem miała ze mną rozmawiać? Za wielka pani, żeby się miała mną interesować.

Doczekałam się śniadania i zesłam do jadalni, bo wtedy najczęściej wszyscy są razem.

Przy stole siedział hrabia Ksawery i hrabina, hrabiego Klemensa nie było jeszcze.

Kiedy mnie hrabia zobaczył, zawołał jak to on:

— O, dzieńdobry pani! Co za miła niespodzianka, że panią widzę!

Hrabina kiwnęła mi głową i zapytała:

— Cóż pani Antoninę sprowadza do nas?

— Chciałam państwu podziękować za okazaną mi dobroć i pożegnąć się.

Hrabia poderwał się z fotela, jakby go coś ukłuło.

— Jakto? Pożegnać?

— Muszę już odejść! Bardzo panu dziękuję za dobre serce i pani hrabinie.

— Dokąd ma pani zamiar iść? Poco?

— Nie mogę tak żyć beczynnym, muszę już odejść!

— Co pani zamierza? Przecież to nie ma sensu!

— Jeszcze raz państwu dziękuję — powiedziałam, nie zwracając uwagi na słowa hrabiego. — Będę państwa zawsze wspominała z wdzięcznością.

Hrabia Ksawery zerwał się z fotela.

— Ależ ja pani nie puszczać! — zawołał. — Pomyśl tylko! — zwrócił się do hrabiny. — Ona na pewno chce znów popełnić jakieś szaleństwo! Może ma pani zamiar iść znów nad Wisłę? Nie możemy do tego dopuścić!

— O, tak! — odezwała się hrabina. — Takie piękne kobiety lepiej trzymać przy życiu, niż pozwolić się im topić!

Spojrzała na mnie ze zjadliwym uśmieszkiem. Mnie krew uderzyła do twarzy. Zrozumiałam, że się hrabina czegoś domyśla.

Tymczasem hrabia podbiegł do mnie i złapał mnie za rękę:

— Niechże się pani zastanowi, pani To! Dokąd pani pójdzie? Czy pani jest źle u nas?

— Ksawciu, nie szarp pani ręką! — powiedziała hrabina, cedząc słówka przez zęby.

— Lucysiu — mówił hrabia, — może ty łatwiej przemówisz do rozsądku tej nieszczęśliwej, rozpaczonej kobiety!

— Ksawciu, nikogo nie można przekonywać terorem, a ty tak mocno potrząsas panie ręką, że obawiam się, iż będzie miała siniaka!

Wyrwałam hrabiemu rękę.

— Niech się pani hrabina nie obawia! Ani terorem, ani przemawianiem mnie pan hrabia nie zatrzyma...

— Och, ja się nie obawiam, moja droga pani Antonino!

— Żegnam państwa! — powiedziałam jeszcze i odwróciłam się do wyjścia.

Nie patrzałam już na hrabiego, tylko wyszłam jak naprędzej, żeby nie czuć na sobie spojżenia hrabiny, która bez przerwy uśmiechała się ironicznie.

Pewnie ktoś ze służby na mnie nagadał. Wiem dobrze, że nawet praczka przychodzi od niej rano z plotkami! Oni wszyscy wiedzą, że hrabina lubi plotki i nawet, kiedy nie mają czego nowego, to sobie zmyślają, by mieć co do opowiadania, kiedy się obudzi.

Na pewno i o mnie nazmyślali niestworzonych rzeczy i naopowiadali.

Niech ich tam! Co mnie to już obchodzi!

Nie odwracając się, wyszłam. Nawet nie pożegnałam się z nikim ze służby, bo i tak na mnie patrzyli z pođelbą, jakbym im jaką krzywdę zrobiła!

Balam się tylko, wychodząc, żeby nie spotkać przypadkiem hrabiego Klemensa.

Dalszy ciąg nastąpi.

SHANŃBIONA

Opowieść o wstrząsających przeżyciach czarującej Kresowianki

— Spędzając tyle miesięcy w zupełnej samotności Stawisk bardzo wiele czytałam i nauczyłam się myśleć, zdawać sobie sprawę z życia i wszystkich jego przejawów... Po przeczytaniu szeregu dobrych książek jakby bielmo spadło mi z oczu... Ujrzałam prawdę, szczerą prawdę... — mówiła Lusia do Piotra.

— I cóż ci ta prawda powiedziała? Mów, bo czuję, że i mnie się zaczyna w głowie rozjaśniać...

— Bardzo mię to cieszy, słuchaj więc... Pokochałam się prawdziwą, wielką szczerą miłością, łączącą w sobie kłliwe uczucie, marzenie o dozgonnem szczęściu z tobą w obcowaniu nie tylko duchowym, ale i... małżeńskim. Kochałam szczerze, prosto i bez zastrzeżeń, nie wyobrażając sobie ani na chwilę, abym kiedykolwiek mogła pokochać innego... I tak się też stało...

— Znow cię nie rozumiem... Dopiero co mówiłaś, że jednak i dla Dereńskiego...

— Nie przerywaj mi... Właśnie teraz ci to powiem... Wiesz już, jakie mi się stało nieszczęście... Pamiętasz, jak to przyjąłeś... I nawet nie wyobrażasz sobie, jak mię tem do siebie zraziłeś... Byłam jeszcze wtedy głupiutka, ale już wyczułam, że takie brutalności, podejrzenia, obelgi nie licują z prawdziwą miłością i że gdzie się traci wiarę, tam traci się również i miłość. Nie mogło mi się pomicić w mózgu, że ty, ty, którego miłości byłam tak pewna, a więc i bezwzględnej wiary we mnie, mogłeś choć na chwilę wątpić o mnie...

— Miałem chyba dość ku temu powodów...

— Moje słowo powinno ci być wiarygodniejsze,

niż wszystkie powody, zwłaszcza, że nie słyż za niemi żadne... dowody... Niestety, dzika, szalona, nieokreślana zazdrość zaślepiła cię... Nie przestałam cię kochać, ale wtedy ja straciłam wiarę w potęgę twojej miłości. Bo ja miałam na to powody i dowody.

— Jakto? Przecież nie przypuszczasz chyba, abym ja cię zdradzał?

— Cieleśnie nie, ale duchowo, skoro straciłeś wiarę we mnie... Wiesz także, ile ciosów potem na mnie spadło... Byłam opuszczona przez wszystkich, w nędzę, drżąc o los już nietylko mój, ile mojego dziecka, które kochałam niezależnie od jego pochodzenia, bo ono przecież na świat się nie prosiło... Potem przyszedłeś ty znow...

— Masz najlepszy dowód, że cię kochałam, skoro rzuciłam wszystko, aby podążyć za tobą...

— O, nie! To mi nie wystarczyło. Bo choć przyjechałeś, ale znow obrzuciłeś mnie stekiem obelg i... co gorsza... szpiegowaleś mnie!... Wkońcu zaś, jak każdy zazdrośnik wzięłeś cień za rzeczywistość... Gdy Kotwicz wychodził ode mnie z ostateczną odprawą, zazdrość podyktowała ci w swem zaślepieniu, że był u mnie, jako kochanek...

— Mogłem chyba tak pomyśleć?

— Ale nie powinien być... Gdy wreszcie było mi bardzo ciężko, gdy byłam już u kresu rozpaczony, poszłam do Dereńskiego, gotowa na wszystko... A on? Był o tyle szlachetny, że nie chciał skorzystać z łatwego łupu... zaproponował mi małżeństwo...

— Każdy inny, komu byś się podobała, zaproponowałby ci to samo...

— O, to nie znasz Warszawy... Tam się tak łatwo nie żenią, zwłaszcza, gdy wiedzą, że mają do czynienia z dziewczyną uwiedzioną i będącą bez wyjścia...

On zaś tak do mnie przemawiał — a co do jego szczerości nie mam żadnej wątpliwości — że ujął mnie swym szlachetnym pojmowaniem życia. On, widzisz, kochał mnie prawdziwie i do końca życia marzyć będzie, abys umiał mnie kochać, tak właśnie jak on. On nie wierzył ludziom ani swoim urojeniom, tylko moim słowom... Dodał, zresztą, że gdyby nawet wszystko było prawdą, co na mnie gadano, to tak samoby mnie kochał...

Dał tego niejeden dowód, przede wszystkim swoją bezinteresownością, a potem oddając życie w obronie mojej czci... Co do mnie, przyznam się szczerze, że pełna podziwu i szacunku dla jego charakteru, gotowa dla niego na wszystkie poświęcenia — nie kochałam go jako mężczyzny...

A jednak szłam za niego, zamierzając dniami i nocami wznosić modły do Boga, aby zesłał do mego serca promyk miłości dla Frania, nie tylko duchowej, lecz i... cielesnej, bo jedno bez drugiego nigdy nie da miłości prawdziwej... Tragiczny los przeciął moje dążenia... A teraz rozumiesz chyba już, że czuję wobec Frania duży obowiązek wdzięczności i będę czciła jego pamięć wiecznie. Ty zaś, o ile pragniesz, aby nasza miłość nie była już nigdy niczem zamacona, przysięgnij mi, że nigdy w życiu już nie dasz dostępu do twojej duszy szatanowi zazdrości i pamięć Frania czcić będziesz narówni ze mną. Gdyby nie on, mozeby już dawno była na dnie Wisły... A więc przysięgasz?

Dalszy ciąg nastąpi.